

**KOSZMAR W RODZAJU TYCH, O KTÓRYCH SŁYSZY SIĘ W TELEWIZJI,
ALE KTÓRE ZWYKLE PRZYDARZAJĄ SIĘ INNYM**

W DÓŁ

TIM
JOHNSTON



Przedtem

Nazywała się Caitlin, miała osiemnaście lat i budziło ją czasem jej własne serce – odfrunęło we śnie w wyścigu, w którym linia mety oddalała się zamiast przybliżać, kolana mięęły jak cięgutka, stopy zmieniały się w kamienie. Wybudzała się szarpnięciem, leżała w pościeli i z klatką piersiową ścięniętą niewidzialnym ciężarem łapała oddech wpatrzona w ciemność. Podnosiła ręce i włączała pulsometr, w niebieskim oku wyświetlacza mrugały wszystkie dane dotyczące jej ciała, niezależnie od tego, czy spała czy nie. TĘTNO: 86 BPM, TEMPERATURA CIAŁA: 37,8°C, TEMPO: (O), WYSOKOŚĆ: 2747 M N.P.M.

WYSOKOŚĆ: 2747 M N.P.M.?

Rozejrzała się; słabe światło wpadające przez szczelinę między zasłonami obrysowywało kontury kilku ciemnych mebli. W łóżku po lewej leżała matka, skrzydło blond włosów szarzało na białej poduszce. Obok, za ścianą, spali ojciec i brat. Dwa pokoje, cztery łóżka, zero dyskusji: nie będzie spała ze swoim piętnastoletnim bratem ani on nie będzie spał z nią.

Pulsometr zalśnił chłodnym blaskiem i zapikał; uciszyła go. Sprawdziła tętno: wciąż było szybkie, ale już nie z powodu tego, co jej się śniło, tylko przez rozrzedzone powietrze.

Góry Skaliste!

Kiedy je po raz pierwszy zobaczyła, z samochodu, jej serce zaczęło dudnić, a mięęnie nóg napięły się i zadrzały. Za kilka tygodni miała zacząć naukę w college'u, gdzie dostała stypendium sportowe, i chociaż nie przegrała w tym semestrze ani jednego wyścigu (COURTLAND NIEPOKONANA! krzyczał nagłówek), wiedziała, że dziewczyny w nowej szkole będą szybsze i silniejsze, bardziej doświadczone i bardziej zdeterminowane niż te, z którymi się dotychczas ścięgała – właśnie dlatego wybrała góry.

Poszła do łazienki, umyła twarz i zęby, mocno spięła włosy i spojrzęła w lustro. Nie z próżności. Chciała zajrzeć sobie

w oczy, tak jak zaglądała wszystkim, żeby wiedzieć, jak je pokonać.

Wróciła do pokoju; przez chwilę wydawało jej się, że matka nie śpi i obserwuje ją z łóżka, ale to były tylko powieki, okrągłe, jaśniejące w półmroku – straszne, niewidzące oczy, jak u posągu. Otworzyła drugie drzwi, weszła do pokoju obok, dokładnie takiego samego, i szarpnęła chłopaka, żeby go obudzić.

Słońce wspinało się jeszcze po dalekich zboczach, miasteczko leżało w chłodnym jeziorze cienia. Niedźwiedzie, które w nocy zlażyły na dół, żeby grzebać w śmietnikach i spacerować między domami, wróciły już na górę. Ulice były puste. Nikt nie widział, jak Caitlin i jej brat przechodzą pod sygnalizatorem, nikt oprócz nich nie słyszał leniwego stukania jego środkowego oka.

Caitlin jeszcze nie biegła, wygłupiała się, maszerowała niczym rześka mażoretka z werblem na czele parady złożonej z jednego chłopaka telepiącego się na wynajętym rowerze. Chciał wrócić po bluzy, ale to lipiec, przypomniała mu, ociepli się.

Miała na imię Sean, ale mówiła na niego Dudley; dawno wymyślone obraźliwe przezwisko, nikt już nie pamiętał, co miało znaczyć. Przyjechali tutaj poprzedniego dnia autostradą między- stanową, z równin do Denver i w góry, krętą drogą, która ze skraj- u urwiska wyrzuciła ich prosto na otwarte niebo, oszałamiająco głęboką zieleń i odległe zbocza gęsto porośnięte niskimi sosna- mi. Wspinali się i wspinali, aż do wododziału, a potem zjechali w dół – w dół, na wysokość 2743 metrów – gdzie z górskiego krajobrazu jak miraż wyłaniał się nagle mały kurort z zimowymi sklepami dla narciarzy i kawiarniami, z pustymi wyciągami krzeselkowymi nad stokami porośniętymi trawą, z nieprawdo- podobnymi kolorami i powietrzem, jakim nigdy nie oddychali.

Teraz wdychali to powietrze i wykasływali białe chmury. Pora- nek był błękitny, sosny pachniały Bożym Narodzeniem.

– Tutaj – powiedziała Caitlin, skręciła w drogę Ermine i za- częła biec na poważnie.

Chłopak jechał za nią. Nieźle, pomyślał z początku – szeroki, gładki asfalt, w górze mnóstwo nieba. Ale potem zrobiło się stromo, a drzewa podeszły bliżej i liczniej. Rower podskakiwał w mechanicznych drgawkach, Sean zmieniał przerzutki, stawał na pedałach, łapał powietrze otwartymi ustami i kłął. Jego wyle- wający się ze spodenek brzuch pokrył się gorącym, śliskim po- tem. Jasna sylwetka siostry na czarnej drodze wydawała się coraz mniejsza i bledsza, uciekała jak złośliwy długonogi krasnoludek.

– Wolniej! – zawołał, aż zabrakło mu tchu, a później spuścił głowę i spojrzął na swoje drżące uda.

Jak wtedy na jeziorze: ona szła przodem, on brnął za nią, stare drewniane rakiety śnieżne zahaczyły jedna o drugą, potknął się – a potem leżał na śniegu (na śniegu, na cienkiej lodowej posadzce na jeziorze pełnym czarnej wody) jak pozbawiona życia kupka szmat i nagle pojawiła się nad nim Caitlin z zaróżowionymi po- liczkami. *Dudley, weź, przestań się zgrywać...*

Podniósł wzrok, już nie biegła. Podjechał, zatrzymał się, po- stawiał stopy na ziemi.

– Jezu Chryste, Caitlin...

Starał się nie brzmieć jak żaloszny zdyszany tłuścioch. Jego serce łomotało.

– Ćśś – syknęła.

Też była zdyszana, ale się uśmiechała. Pękające płuca, dud- nienie serca – uwielbiała to. W domu na ścianie jej pokoju wstęgi z wyścigów układały się w skrzydło wspaniałego ptaka.

– Widzisz? – zapytała.

– Co?

– Tam wyżej.

– Gdzie?

– Tuż przy drodze. Tutaj.

I wtedy go zobaczył – niedużego rudego psa z puszystym ogo- nem. Nie, nie psa. Coś dzikiego, z małymi czarnymi oczkami i wielkimi czujnymi uszami.

– Co to? – zapytał.

- Chyba lis.
- Co ma w pysku?
- Nie wiem.
- To dziecko – powiedział. – To na pewno jej dziecko.
- Nie, widzę krew.
- Może je zabiła. Czasem tak robią.

Patrzyli na lisa, lis patrzył na nich, a potem, nie wypuszczając z zębów małego ciała, odwrócił się, potruchtał drogą i zniknął.

Sean zsunął plecak na ramię i zaczął szukać butelek. Caitlin zatrzymała się nie ze względu na lisa, ale dlatego, że dotarła do skrzyżowania i nie wiedziała, którądy bieć. Przypomniała sobie tego chłopaka z wypożyczalni, miał palce całe w smarze (i tatuaż z pajakiem wspinającym się do gardła, i bardzo zielone oczy) – mówił, że będą drogowskazy, ale tutaj żadnych nie było.

Napili się zimnej wody. Sean zdjął kask, rozłożyli mapę.

– Tędy – pokazała.

Podniósł wzrok na wąską żwirową ścieżkę i pokręcił głową.

– To nie w porządku.

Obiecali, że będą się trzymać utwardzonych dróg, przypomniał. Spojrzała na niego: czerwona poważna twarz, wysokie gniazdo ugniecionych przez kask przetłuszczających się włosów. Czasami trudno było pamiętać, że ma piętnaście lat – nie dwanaście, nie dziesięć, nie siedem.

Sprawdziła pulsometr – jej serce biło szybko, nawet kiedy stała. 2882 metry nad poziomem morza.

– Dudley – powiedziała, pychając swoją butelkę z powrotem do plecaka – wypożyczyłeś rower górski, żeby jeździć po asfalcie?

Słońce rozlało się po dolinie, wbiło się złotym ostrzem przez szczelinę między zasłonami i opadło na łóżko i powieki śpiącego mężczyzny, który po chwili odwrócił się, zamrugał i złapał ostrość na budzik. 7.15.

Pokój motelowy. Kolorado. Po prawej drugie łóżko, puste i rozgrzebane.

Na blacie w łazience w małej kałuży leżała szczoteczka chłopaka. Grant Courtland opłukał twarz, wytarł się, wrócił do pokoju i odsłonił okno. Jasnoblękitne poranne niebo, kilka niedużych chmur nad szczytami. Piękno, w które trudno uwierzyć. Poczłówa. W oddali szybował jakiś ptak; długo unosił się w powietrzu, potem zanurkował między drzewa jak pocisk. Grant patrzył dalej, ciekaw, czy ptak pojawi się znowu, ale się nie pojawił.

Nie miał pewności, gdzie dokładnie są dzieciaki. Może na tamtej górze, wśród tych drzew, pozornie tak bliskich. Poprzedniego wieczora razem pochylali się nad mapami, ale Grant nie przyglądał się zbyt uważnie; to ich przygoda, chcieli sami ją zaplanować i sami przeżyć. Za kilka tygodni Caitlin zacznie naukę w college'u w Wisconsin, dostała tam stypendium, góry to był jej pomysł, jej wybór, prezent z okazji ukończenia szkoły.

College. Już.

Wpatrywał się w dal, w końcu zamigotało mu coś metalowego, błysnęły białe buty do biegania. Ale oczywiście nic tam nie było, tylko sosny, zieleń i jeszcze więcej zieleni.

Wziął komórkę, wcisnął kilka klawiszy, później się zawahał, jego kciuk zawisł nad przyciskiem WYŚLIJ. Przypomniał mu się tamten sen – część snu: pewna siebie, badawcza kobieca dłoń, nic więcej, ale... Boże.

Odłożył telefon, przez chwilę się w niego wpatrywał. Potem wciągnął dzinsy i tizert i na bosaka poszedł do drugiego pokoju.

Droga zaczęła się zwężać, żwirowa ścieżka przeszła w coś w rodzaju wijącego się po zboczu rowu, w końcu całkiem zniknęła i zmieniła się w nagą szczękę pełną obłych kamieni, wyschnięte koryto sezonowego strumienia, ukształtowane przez lata zgodnie z wolą wody, która parła w dół, zawsze w dół.

– To nie w porządku! – wrzasnęła.

Caitlin biegła przodem, skacząc z kamienia na kamień jak koza.

Sean walczył, dyszał, trzął się i szczękał zębami. Wreszcie powiedział: Pieprzyć to, i gwałtownie się zatrzymał. Zatoczył się, rower upadł na kamienie.

– Caitlin!

Czuł się jednocześnie ogromny i niezwykle lekki. Jego nogi zrobiły niespodziewany krok. Coś uderzyło go w kask, zabręczało w otworze wentylacyjnym i odleciało.

– Kurwa – mruknął.

Podniósł rower i zaczął pchać go po kamieniach, ale po chwili znów coś go zaatakowało – tym razem wleciało pod plecak. Puścił kierownicę i zaczął wyplątywać się z szelek. Po chwili zrozumiał, że to komórka, ale zanim zdjął plecak i ją wyjął, bzyczenie ustało. Zerknął na ekran, ale nie zobaczył ikonki wiadomości. Sprawdził swój telefon i wrzucił oba do plecaka.

Potem znów wyjął komórkę siostry. Przez chwilę stał, ważąc w dłoni jej rubinowy ciężar, później spojrzał w górę, usiadł na kamieniu i zaczął czytać esemesy. Najciekawsze były imiona. COLBY. ALLISON. NATALIE. AMBER. Szczupłe, wysportowane dziewczyny, które przychodziły w workowatych szortach i obcisłych wydektowanych podkoszulkach, piły dietetyczną colę i wte i wewte biegały na bosaka po schodach. Zostawiały ślady na meblach, zapach na tapicerce i na poduszkach. Ciągle esemesowały, śmiały się i gadały – nieustannie gadały. Raz podkraść się pod okno piwnicy i usłyszał Allison Chow opowiadając pozostałym, jak prawie się udławiła futem swojego chłopaka. A raz wszedł do łazienki, kiedy siedziała tam Colby Wilson, z nagimi udami, w opuszczonych do kolan spodenkach.

Fajnie, że zapukałeś, grubasie.

Ścieżka skończyła się szybciej, niż się spodziewał; wkrótce wyszedł na asfaltową drogę, tak samo gładką jak tamta, może nawet tę samą. Znak CO RD. 153, słońce na rozgrzanym karku, ciche sosny, tyle. Z jednej strony droga prowadziła pod górę, skręcała w prawo i zniknęła za zakrętem, z drugiej opadała stromo w dół.

Całe ciało Seana ciągnęło właśnie tam – w dół; każdą komórką pragnęło prędkości, wiatru i długiej swobodnej jazdy na grzbiecie grawitacji. Ale Caitlin by tego nie zrobiła, nie pobiegłaby na dół, niech ją jasna cholera, więc stanęła na pedałach i ruszył pod górę.

Nie zajechał daleko, kiedy coś wystrzeliło spomiędzy drzew, tak blisko i tak niespodziewanie, że wrzasnęła i zeskoczyła z siodełka. Chwilę później usłyszała jej ośli śmiech i krew zaszumiła mu w uszach.

– Niech cię szlag.

– Boże, Dudley, szkoda, że się nie widzisz!

Podniósł rower z asfaltu.

– Nie sądziłam, że potrafisz być taki szybki!

– Nie sądziłem, że potrafisz być taką pizdą!

Przestała się śmiać. W tę nagłą ciszę wpadł męski głos. Znikąd. Zewsząd. Potem zza wzniesienia na dole. Po chwili na drodze pojawiło się dwoje pochylonych rowerzystów w kaskach. Mężczyzna zamilkł, kiedy ich zobaczył. Minęli ich zasapani, z podniesionymi jasnymi twarzami. Kobieta była młodsza, może w wieku Caitlin, uśmiechnęła się do Seana. Jedna z nóg mężczyzny kończyła się na wysokości kolana, niżej znajdował się czarny pręt przypięty do specjalnego pedału, tak że nie dało się powiedzieć, gdzie kończy się rower, a zaczyna człowiek. Mężczyzna powiedział: Cześć, chłopak powiedział: Cześć, rowerzyści zniknęli za zakrętem.

– Jak mnie nazwałeś? – zapytała Caitlin.

Jej twarz płonęła. Jego też.

– Chryste, Caitlin. Szukałem cię. Mieliśmy mieć na siebie oko.

Spojrzała na niego złowrogo, odwróciła wzrok i pokręciła głową. Poprawiła opaskę i podeszła, Sean się cofnął, a ona powiedziała, że miała na niego oko i przez cały czas dokładnie wiedziała, gdzie jest. Co on sobie myśli, za kogo ją ma?

Łóżka w drugim pokoju stały puste i niepościelone, rozbebeszone jakby ktoś się nad nimi pastwił. Gdy dziewczyny kładły się spać, pomieszczenie było chłodne; teraz w ciepłym powietrzu unosił się delikatny zapach perfum i potu. Grant sprawdził grzejnik, był wyłączony. Podeszedł do wnęki przy łazience. Na półkach leżały dwie otwarte walizki; ich zawartość – ubrania, staniki i majtki – już na pierwszy rzut oka różniła się kolorem i krojem.

W szparze między framugą a uchylonymi drzwiami tańczyły kłęby pary. Usłyszał szmer szczoteczki, popchnął drzwi. Stała owinięta białym ręcznikiem i cierpliwie myła zęby. Wyglądała, jakby znów miała dwadzieścia lat. Przypomniawszy sobie czasy college'u, małe mieszkanie nad piekarnią przy Fairchild, zimowe poranki w jej łóżku, jej zapach mieszający się z zapachem świeżego chleba. Jej siostra bliźniaczka, Faith, utonęła, kiedy miały szesnaście lat, w dziwny sposób go to fascynowało. Dużo wtedy czytał, prozę, wiersze. Potem ciąża, rachunki, dziecko. On podeszedł do pracy na budowie, ona została w szkole; czasami zabierała małą na zajęcia, kiedy pani Turgeon zachorowała. Mała ma teraz osiemnaście lat, sama zaraz idzie do college'u. Jest młodą kobietą, szybką jak wiatr i jego własne serce, które waliło niespokojnie za każdym razem, gdy biegła, *Boże, patrz na nią, Boże, nie pozwól jej przegrać.*

– Weetyatoy je ała – powiedziała Angela, nie wyjmując szczoteczki z ust.

Podeszedł do niej i stanął za jej plecami, jego twarz pojawiła się nad jej twarzą w okienku wytartym przez Angelę w zaparowanym lustrze. Jej włosy, rozczesane grzebieniem na setki schludnych pachnących rzędków, były mokre i ciężkie.

– Nie dzwoniли jeszcze? – zapytał.

Pochyliła się, żeby splunąć, i uderzyła go pupą. Płukała, szorowała, pochylała się.

– Jeszcze nie. Ale jest wcześniej. – Podniosła się i zerknęła na jego odbicie. – Myślę, że zajmie im to jeszcze z godzinę. Spokojnie.

– Coś przegapiłaś. – Dotknął kącika swoich ust, powtórzyła jego ruch. – Musisz wypluć dokładniej.

Uśmiechnęła się, znów się nachyliła, znów uderzyła go pupą. Zebrał wilgotne kosmyki i trzymał, dopóki nie skończyła. Zakręciła wodę i oparła dłonie na umywalce. Podniósł ręcznik i spojrział w dół, na jej pośladki. Były takie białe i gładkie.

– Grant?

Jego dłonie na jej ciele wyglądały jakby wypalono je w piecu i położono na tej jasnej powierzchni, wielkie i ciemne, żeby się ochłodziły i doszły do siebie.

– Tak?

– Chodźmy do łóżka. Chcę widzieć twoją twarz.

Caitlin odkryła to, kiedy na niego czekała. Poprowadziła go teraz między sosny i po chwili znaleźli się wśród białych topolowych pni. Las w lesie. Ścieżka wiła się wśród drzew, a potem nagle wyrzuciła ich na małą polanę z kapliczką, w której stała Matka Boska, jakby się ich spodziewała. Naturalnej wielkości, gładka jak kość i całkiem biała, obudowana skorupą ze sklejonych zaprawą obłych kamieni, takich jak te, na które Sean kłął w parowie. Dwa palce wzniesionej w dobrotliwym błogosławieństwie prawej dłoni były utracone na wysokości drugiego stawu, co nadawało figurze wyraz zwątpienia, jakby wyrzeźbiono ją chwilę przed wybuchem straszliwej paniki.

– Widziałaś? – zapytał, wskazując na dłoń Maryi.

– Widziałam, widziałam. Jak u taty.

– Co ona tu robi?

– Pewnie ma coś wspólnego z tym. – Caitlin machnęła ręką w stronę grupki kamiennych bloków wyrastających z ziemi jak zęby, wąskie, kredowobiałe i powykrzywiane każdy w inną stronę.

W cieniu obok kapliczki stała kamienna ławka. Usiedli na niej, żeby napić się wody i zjeść roztopiające się batony energetyczne.

– Kim byli, jak myślisz? – zapytał.

Caitlin wzruszyła ramionami.

– Osadnicy.

– Donner Party – powiedział.

– To nie te góry. Spójrz, jest tabliczka.

Rozchyliła krzaki u stóp Matki Boskiej i odsłoniła brązową tabliczkę z zaśnieżoną inskrypcją.

WIELEBNY TOBIAS J. FIFE,
BISKUP DENVER, W IMIĘ BOŻE
UDZIELA CZTERDZIESTU DNI ODPUSTU
ZA WIZYTĘ W TEJ LEŚNEJ KAPLICZCE
I MODLITWĘ PRZED NIĄ.
1938

– Wielebny – powiedziała Caitlin. – Podoba mi się.

– Jak to czterdzieści dni łaski?

– Chyba chodzi o to, że przez następnych czterdzieści dni nie musisz się modlić. Coś w rodzaju wakacji.

– A może to znaczy, że przez czterdzieści dni jesteś bezpieczna? W sensie, że nie przytrafi ci się żadne gównno?

– Może. Daj telefon.

Sięgnął do plecaka i podał Caitlin jej czerwoną komórkę. Sprawdziła, czy nie ma nowych wiadomości, i sfotografowała kapliczkę.

Wiatr zaszeleścił w liściach topól. Sean ugryzł baton i teatralnie się zakrztusił. Caitlin powiedziała, żeby się nie zmuszał, a potem spojrzała na niego i podniosła brew.

– Dawaj. Nie robi mi to.

Zawahał się, ale po chwili wrzucił baton do plecaka, z bocznej kieszeni spodni wyłowił dużego snickersa i zaczął obierać go z folii.

– Chcesz trochę?

Caitlin wzięła snickersa i otworzyła usta, jakby miała zjeść całego, ale odgryzła tylko kawałeczek. Sean zjadł resztę na trzy

duże gryzy, żując z otwartymi ustami i posapując, napił się wody i złapał oddech. Zabębnił palcami po plecaku, zerknął na dłoń Maryi. Ich matka wierzyła w Boga. Ojciec mówił, że muszą zdecydować sami.

– Caitlin?

– Co?

– Nie wydaje ci się, że tata świruje?

Odchyliła się do tyłu, skrzyła w talii i spojrzała na niego.

– Co? – powtórzyła.

– Nie sądzisz, że jest ostatnio trochę dziwny?

– Dudley, on zawsze jest dziwny. Co to ma wspólnego ze świrowaniem?

Podniósł wzrok na drzewa.

– Widziałem coś. Jakiś czas temu.

To było w biurze za domem, w tym metalowym baraku, gdzie ojciec prowadził swoje budowlane interesy. Sean sprzątał tam, zamiatał i porządkował narzędzia, żeby zarobić na kieszonkowe. Ale jedna ze skrzyń była zamknięta, więc wrócił po klucz i biuro było otwarte, i...

– I co?

– I on tam siedział. Z dziewczyną.

– Z dziewczyną?

– Z kobietą. Siedziała na jego biurku. W spódnicy.

Caitlin czekała.

– I co?

– I tyle.

– Była tylko w spódnicy?

– Nie. Tylko tyle widziałem.

– Jezu Chryste, Sean.

Oparła stopę na kolanie, rozwiązała sznurówki, zsunęła but i potrząsnęła nim, jakby coś tam wlało. Wsunęła dłoń do środka, pogmerała w wilgotnym wnętrzu, włożyła but z powrotem i zawiązała.

– I co?

– Nic. Ta dziewczyna, to znaczy kobieta, zeszła z biurka, podała mi rękę i poszła. Powiedziała mi, że jest jego klientką.

– Więc skąd ci się wzięło to świrowanie?

– Nie wiem. Jeny. – Zapiął plecak brutalnym szarpnięciem i siedział, gapiąc się na niego. – Zapomnij o tym, dobra? Chodźmy już.

Caitlin wstała i spojrzała na niego z góry.

– Nie obgryzaj paznokci. To obrzydliwe.

Podrapała się po tyłku i ruszyła w stronę grobów.

Sean zerknął na Maryję, podniósł się i poszedł za siostrą.

Caitlin stała na skraju małego cmentarza z założonymi na piersi rękoma, trzymając się za łokcie. Zmarzła. Musiała biec dalej. Podszedł do niej.

– To nic takiego – powiedział. – Zapomnij o tym.

Potarła ramiona dłońmi. Przypomniała sobie fragment wiersza, który czytała w nocy. *Poddaję się, blednę.*

Potem opowiedziała mu, jak ojciec ich zostawił – na trzy, cztery miesiące, chociaż wydawało jej się wtedy, że trwało to znacznie dłużej. Sean był bardzo mały, nie może tego pamiętać. Matka mówiła, że nie ma się czym przejmować, ale Caitlin słyszała, w jaki sposób rozmawiała z ojcem przez telefon, i pamiętała jej twarz – nową, obcą. Pamiętała też, co matka powiedziała wtedy do telefonu, ale nie powtórzyła tego bratu.

Milczała, Sean wpatrywał się w nagrobki. Pod jednym z nich czerniał w trawie mały talerzyk albo spodek. Po chwili stał się tym, czym był – plastikową pokrywką na kubek z kawą, z dziurką do picia. Śmieć, jedyny, jaki się tu dostał, z samego dołu, żeby wylądować właśnie przy tym kamieniu.

– Kiedy w końcu wrócił – ciągnęła – nie miał palców. Zawsze myślałam, że dlatego wrócił: dlatego że gdziekolwiek wtedy przebywał, było to miejsce, gdzie traci się palce.

Wzdrygnęła się. Nie obchodziły jej palce, potrzebowała tylko jego ramion, jego szorstkich jak papier ścierny policzków, dresz-

czu, który przebiegał ją za każdym razem, gdy mówił: *Pasikonik, mój Pasikonik.*

– Zawsze mi powtarzał – Sean parsknął dziwnym śmiechem – zawsze mi powtarzał, że odpadły od palenia.

– Wierzyłeś w to?

Milczał. W jednej chwili wszystko się zmieniło, wszyscy się zmienili.

– Jak myślisz, co się stanie tym razem? – zapytał; Caitlin głęboko westchnęła, migoczące liście topól poruszyły się i zaszmiały jak deszcz.

– Nic – powiedziała. – Chodźmy.

Zasłony były zaciągnięte, światło sączyło się bokiem po ścianie i strzelało do góry, wieńcząc okno jasną koroną. Grant patrzył na nią. Leżał nagi pod prześcieradłem. Zasnął na kilka minut, a potem obudził się nagle z łomoczącym sercem. Co to za łóżko? Czyja ręka obejmuje go w pasie?

Westchnienie, skurcz.

– Nie – jęknęła Angela.

– Wszystko w porządku – szepnął i dotknął jej ramienia.

Dawno temu opowiedziała mu sen, który kiedyś ciągle jej się śnił. W tym śnie jakiś głos mówił jej, że musi być z siostrą. *Z którą, pytała, z którą siostrą?* ale głos nie odpowiadał.

– Co?

Podniosła głowę. Miała takie brązowe oczy.

– Powiedziałaś nie.

Odgarnęła włosy z twarzy, odklejając je od ust.

– Tak?

– Tak.

Przesunęła się, z powrotem położyła głowę na jego piersi. Odetchnęła. Gdzieś trzasnęły drzwi, korytarz wypełnił się radosnym tupotem gromadki małych bosych stóp pędzących do basenu. Wysokie głosy, lato.

– Będzie dziwnie, co?

Patrzyła na drugie łóżko. Spiętrzona pościel wyglądała, jakby ktoś w niej leżał. Angela rozczapierzyła dłoń na żebrach męża.

– Jak to?

– Przecież wiesz.

Grant spojrzął na puste łóżko.

– Szybko zleciało – powiedział.

– Wszyscy tak mówili: nie uwierzysz, jak to szybko leci. A za kilka lat Seanie – westchnęła.

Stuknęła palcem w jego pierś, jakby delikatnie pukała do drzwi. Dwa razy. I jeszcze raz.

– Nawet o tym nie myśl, Angela.

– Nie jesteśmy za starzy. Ja nie.

– Ja jestem.

– Nie, to człowieka odmładza.

W pokoju obok jakaś kobieta strasznie się rozkaszała. Ktoś włączył telewizor, rozległ się głos spikera relacjonującego jakieś ważne wydarzenie.

– Trochę zaoszczędzili na tych ścianach – stwierdził Grant.

– Czy byłam głośno?

– Pieprzyć to.

Zwiesił nogi z łóżka, usiadł; prześcieradło zasłaniało jego uda. Bujał nogą.

– Nie ma nic do roboty, Grant – mruknęła do jego pleców. – Jesteś daleko, daleko w magicznym świecie, gdzie nikt nie pracuje.

Milczał.

– Co? – zapytał po chwili.

Sięgnęła w stronę stojącej na stoliku nocnym butelki z wodą, podał jej ją.

– Ale dzieciaki niedługo wrócą – powiedziała. – I lepiej, żeby nie przytapały nas w łóżku – dodała, oddając mu butelkę. – Prawda?

Napił się. Jego serce podskakiwało. Na stoliku leżała książka, mała, w twardej oprawie, do góry grzbietem. Podniósł ją, założył kciukiem, zamknął i spojrzął na okładkę.

– Ty to czytasz?

– Nie, Caitlin.

– Skąd to wzięła?

– Ktoś jej dał.

– Kto?

– Nie wiem.

– D.H. Lawrence. Wiedziałaś?

– Tak. Czemu?

– Nie wiedziałem, że czyta takie rzeczy.

Otworzył książkę i przeczytał linijki na lewo od swojego kciuka.

Kiedy wiatr odłania zasłonę

I odkrywa jej śmiech

Poddaję się, błedną.

Ścisnęło go w piersi. Przypomniawszy sobie, jak była mała. Jak trzymał ją, taką małą i ciepłą, w ramionach, a jej czysty dziecięcy zapach wypełniał jego serce. Jak czytał: *Tak, tak, szukam tego, czego mi brak, szukam tego, czego mi brak. Trala la, oto ja, szukam tego, czego mi brak.* Była taka skupiona, nieważne, który raz czytali. Kładła małą dłoń na jego przedramieniu, potem zakładała włosy za ucho, drapała się w nos – a porzucone miejsce na jego ręce czekało, aż ta dłoń wróci.

Ostrożnie odłożył książkę na stolik, grzbietem do góry.

– Jakie rzeczy? – spytała Angela.

– Poezję.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na żonę.

– Czy jest w tym coś dziwnego?

Angela wzruszyła ramionami. Pokręciła głową. Leżały przy lampce nocnej, Caitlin czytała jeden z wierszy, prawie szeptem; był pełen pocałunków i dotyków. Angela chciała pogładzić ją po włosach, wśliznąć się do jej łóżka jak siostra. Mogłaby. Ominęło je to, co często dzieje się między matkami a córkami – krzyki, młodzieńcze trzaskanie drzwiami, straszliwe wojny domowe.

Caitlin potrafiła to wszystko wybiegać. Zdawały sobie sprawę, że mają szczęście.

- Zadzwonimy do nich? – spytała Angela.
- Za sekundę.
- Lepiej zadzwońmy.
- Odsłoń okno.
- Dobrze – powiedziała. – Jestem gotowa.

Leżała jeszcze przez chwilę, przyzwyczajała się do światła, obserwowwała go. Na tle jasnego świata wyglądał jak naga ciemna rzeźba. Kiedy przebywa się w obcych miejscach, wszystko, nawet to, co znajome, wydaje się obce. W końcu podeszła, objęła go w biodrach i przytuliła się do niego. Jego skóra nie pachniała już dymem ani alkoholem, pachniała tylko nim.

– Ktoś nas zobaczy – powiedziała, ale za oknem nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć, tylko niebo i góry spiętrzone wśród coraz mniejszych rozbłysków zieleni; wielkie dalekie szczyty sięgające wyżej, niż powinno sięgać to, co stoi na ziemi.

– Niesamowite, prawda? – dodała. – Można sobie wyobrazić, jak tu było dwieście lat temu. Żadnych dróg, żadnych parkingów. Tylko to wielkie, dzikie... nieznanne. Obca planeta. Nic dziwnego, że mężczyźni tak bardzo tego pragnęli.

– Mężczyźni? – zapytał z roztargnieniem. – A kobiety?

Trzymał jej telefon, przewijał menu.

– Jasne, twoja dziewiętnastowieczna kobieta marzyłaby o tym, żeby zapakować swoich dziewięcioro bachorów do drewnianego powozu i pojechać z nimi w Góry Skaliste. – Puściła go, dała mu klapsa i ruszyła do łazienki. – Wybierz piętnaście. Albo osiemnaście.

Odwrócił się.

– Ciągle to robisz?

– Przystanę, kiedy Caitlin skończy dwadzieścia. Czułabym się staro.

Już miał wpisać kod, ale się zawahał. Rozejrzał się po podłodze. Cholera, załóż przynajmniej majtki, zanim do niej zadzwonisz, pomyślał. W głowie rozbłysnął mu obraz córki, jasnej, długonogiej na czarnym żuźlu – biegła tak lekko, jakby nic nie ważyła, jakby w ogóle nie dotykała ziemi, choć kiedy doganiała inną dziewczynę, było w tym też coś przerażającego. W następnej sekundzie gdzieś na twardej powierzchni zabrzączał drugi telefon. Angela krzyknęła z łazienki: To oni! i pobiegła do sąsiedniego pokoju. Grant poszedł za nią, ale już znalazła. Stała na progu, w jego obciążonych palcach pulsowała krew.

Jego żona patrzyła na numer ze zmarszczonymi brwiami. Komórka bzycała w jej dłoni.

– Angela.

Odebrała.

– Halo? – powiedziała, spoglądając na męża pustym wzrokiem. – Halo?... Tak, to jego telefon. Przepraszam, kto mówi?

Powoli opuściła komórkę, nie odrywając od niej oczu. Grant widział, jak następuje ta zmiana. Widział każdą niewiarygodną, nieodwracalną sekundę.

– Rozłączyła się.

Wpatrywała się w niego. Jej oczy już były inne.

Wyciągnął do niej rękę.

– Pokaż...

Ale ona się odsunęła, odwróciła i zaczęła uderzać w klawisze. Podeszedł do niej bardzo powoli. Odzyskiwał ją przez lata, krok po kroku. Jakby wskrzeszał zmarłą. Lata zaufania, lata miłości, wszystko zniweczone przez głupią zamianę telefonów. Mógł nawet nie wiedzieć, jak wygląda twarz tamtej kobiety, jak wygląda jej ciało. Była czymś, co we dwoje poskładali z niczego, ze starych części, tutaj, w tym motelu.

Spojrzał na nią, stała do niego plecami. Będą musieli jakoś przejść przez tę godzinę, ten dzień, te wakacje. Przez długą podróż z powrotem do domu.

– Angela...

– Przestań. Po prostu... – Trzęsa się. – Odbierz. Odbierzesz?
Telefon w jego dłoni dzwonił. Jak długo? Patrzył na niego z irracjonalnym lękiem.

– To Sean – powiedział.

Jego żona milczała.

Wyszli spomiędzy topól na ostre światło, ich cienie padły na asfalt. Słońce stało wysoko, poranek już się wypalił. Powietrze było suche, pachniało żywicą i wyschniętymi rudymi igłami. Rozłożyli mapę, żeby sprawdzić, gdzie są. Po chwili usłyszeli silnik, po raz pierwszy tego dnia, i narastający łomot muzyki, a zza zakrętu na górze wyskoczył samochód – półciężarówka albo jeep, albo coś pomiędzy, jakiś terenowy model, którego nie znali. Jechał w ich stronę. Caitlin powiedziała: Chodź tu, Sean cofnął się z rowerem między krzaki i dzikie kwiaty. Dziwny pojazd minął ich szerokim łukiem, cały w basach i słońcu. W oknie mignęła twarz, męska szczeka i żółte szkła, które skupiły się na nich na długą chwilę. Potem niby-jeep dotarł na szczyt i wszystko zniknęło, człowiek, silnik, muzyka i reszta.

Ruszyli dalej. Za wzniesieniem asfalt przecinała droga gruntowa, pod ostrym kątem, jak w literze x, i Caitlin po prostu w nią skręciła, bez wahania, bez pytania. Droga była nieoznakowana i prowadziła raczej w górę, ale chłopak nic nie powiedział. Przypomni to sobie później. Przypomni sobie leśną kapliczkę, groby, twarz Matki Boskiej i jej okaleczoną dłoń. Przypomni sobie, że pomyślał, że tak czy siak powinni się byli pomodlić, jak zalecał wielebny, na wszelki wypadek. Czterdzieści dni to czterdzieści dni. Ale ona już szła w stronę tamtej drogi. W białym podkoszulku na ramiączkach, białych szortach z wiśniowym napisem BADGERS na tyłku, w różowo-białych adidasach przez chwilę nie wyglądała jak Caitlin, tylko jak jakiś duch, który zaraz rozwieje się i zniknie. Jak wędrowna zjawą, wokół której powietrze robi się zimne, ptaki drżą, a liście drzew żółkną i opadają.

Odebrał.

– Cześć, Sean.

– Pan Courtland? – zapytał męski głos, a Grant odrzucił głowę do tyłu, jakby ktoś go uderzył.

– Tak. Kto mówi?

Angela odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz. Popatrzył w jej oczy, potem w okno. Mężczyzna się przedstawił, ale Grant zrozumiał tylko słowo „szeryf”.

– Co się stało? – zapytał. – Gdzie jest Sean?

Poczuł ból w przedramieniu, zerknął na nie i zobaczył białe palce zaciskające się na nim jak szpony. Dotknął ich delikatnie.

– W szpitalu w Granby, panie Courtland – powiedział szeryf. – Jest trochę poturbowany, ale lekarze mówią, że nic mu nie będzie. Znalazłem jego portfel i ten telefon w jego...

– Jak to trochę... – Spojrzał na Angelę i ugryzł się w język. – Co to znaczy?

– Wygląda na to, że miał wypadek w górach. Nie rozmawiałem z nim jeszcze, dali mu sporo leków, zanim... Hm, zaraz dam panu lekarza. Ale najpierw...

– Nic mu nie jest?

– Cóż, ma dość mocno poobijaną nogę. Ale był w kasku. Nic mu nie będzie. Miał szczęście.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Mógł tam leżeć dużo dłużej, ale akurat przejeżdżali roweryści.

Grant czuł, jak krew huczy mu w głowie. Nie mógł się skupić. Jego syn, gdzieś na górze, w górach, ranny...

– Panie Courtland – odezwał się znowu szeryf. – Gdzie państwo są?

Jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Grant pokręcił głową.

– Co pan ma na myśli?

– No, znaleźliśmy państwa syna w górach, na wynajętym rowerze. Więc po prostu zastanawiam się, gdzie państwo są.

– Caitlin – powiedziała nagle Angela.

Serce Granta podskoczyło.

– Tak. Chciałbym porozmawiać z córką. Proszę mi dać Caitlin.

– Z córką...? – powtórzył szeryf i zamilkł.

Grant słyszał jego oddech. Słyszał, jak poprawia pas. Słyszał kobiecy głos wołający coś niezrozumiałego w pustym szpitalnym korytarzu.

Kiedy szeryf znów się odezwał, brzmiał zupełnie inaczej.

– Panie Courtland.

Grant podszedł do okna, jakby chciał przez nie wyjść. Przedtem patrzył na góry jak na mapę z szlakami, ścieżkami i wyciągami, jak na plac zabaw, ukształtowany przez ludzi i pieniądze. Teraz zobaczył je takimi, jakie były, zielone, potężne, spiętrzone jedna nad drugą niczym morskie fale. Angela zatrzymała go, zaciskając dłoń na jego ramieniu, i stanęła na palcach, żeby nie uronić ani słowa.

– Panie Courtland – powtórzył szeryf. – Pański syn był sam.

Angela pokręciła głową.

– Nie – powiedziała, odwróciła się, podeszła do walizki i zaczęła się ubierać.

Kiedy byli młodzi, kiedy leżeli nadzy i młodzi w tym wypełnionym cudownym zapachem jej ciała i chleba mieszkaniu nad piekarnią, Grant spojrzął na mały krzyżyk ledwie zauważalnie podskakujący w delikatnym dołku między obojczykami Angeli w rytm bicia jej serca. *Dotknął go palcem i niewiele myśląc, zapytał: Czy to jednak nie ironiczne?*

Co?

Że Bóg zabrał twoją siostrę, która miała na imię Faith?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się. Zesztywniała. Przepraszaam, powiedział. Proszę, Angela... Proszę. Nie wiedział jeszcze o drugim sercu, maleńkim sercu pod jej sercem.

A teraz, w tym motelu, w tym pokoju, z telefonem żony przy uchu, błagał: *Boże, proszę, Boże, proszę.* Szeryf znów zapytał, gdzie są, i powiedział, żeby się stamtąd nie ruszali. Chłopak jest bezpieczny, śpi. Szeryf przyjedzie po nich, będzie za piętnaście

minut, nie więcej. Sam ich tam zawiezie, w te góry. Zawiezie ich wszędzie, gdzie będzie trzeba. Ale Grant wiedział, że kiedy szeryf przyjedzie, ich już tam nie będzie. Będą w górach, w drodze. Chłopak jest bezpieczny. Chłopak śpi. Grant siądzie za kierownicą, Angela zajmie się mapą. jak przedtem, jak potem.

BŁYSKOTLIWY THRILLER O WIEŻACH KRWI I WALCE O PRZETRWANIE.

Koniec wakacji, Courtlandowie przyjeżdżają w Góry Skaliste. Dla ich córki, osiemnastoletniej Caitlin, góry mają być ostatecznym sprawdzianem biegowym. Jej rodzice liczą na to, że wspólny urlop pomoże im posklejać związek.

Pierwszego ranka Caitlin i jej młodszy brat Sean idą pobiegać. Kilka godzin później ich rodzice odbierają telefon od szeryfa. Chłopak leży w szpitalu. Miał wypadek. Nie jest z nim najlepiej, ale jego życiu nic nie grozi. A Caitlin?

Jaka Caitlin?

Tajemnicze zniknięcie dziewczyny staje się początkiem strasznej podróży po coraz bardziej splątanych ścieżkach. Wkrótce Courtlandów będzie łączyło już tylko pytanie, którego nigdy nie zdołają zadać na głos: Kiedy przestać szukać?

**DAWNO NIE CZYTAŁAM TAK DOBREJ KSIĄŻKI. JOHNSTON
MA NADLUDZKI DAR OBSERWACJI I POTRAFI NIEZWYKLE
SUGESTYWNIE ODDAĆ PIĘKNO I DZIKOŚĆ ŚWIATA. TAK SIĘ
WCIAGNEŁAM, ŻE SPÓZNIŁAM SIĘ NA SAMOLOT.**

MARY ROACH

PATRONAT MEDIALNY

www.portalkryminalny.pl



**PORTAL
KRYMINALNY**

BOOKLIPS.PL IIIII



**MARGINESY
WYDAWNICTWO**

TeleTydzień



cena 37,90 zł